

Imigracyjny produkt wolnorynkowej prawicy

19 listopada 2015

Przy okazji zamachów w Paryżu po raz kolejny w polskim internecie obrodziło wpisami znawców od imigracji, którzy za napływ obcych kulturowo przybyszy obwiniają „lewacki” multikulturalizm i mityczny „socjal”. Sprawa jest jednak dużo bardziej skomplikowana niż memy na „Kwejku”, bowiem drzwi dla imigrantów jako pierwsza otworzyła wolnorynkowa prawica w porozumieniu z krajowym biznesem.

„Prawicowiec kieruje się entuzjazmem lub oburzeniem, podziwem albo obrzydzeniem, ale nigdy refleksją. Zamiast tego reaguje. Stąd jego niemal zawsze emocjonalne reakcje na wydarzenia. Uderzający jest jego naiwny, wręcz dziecinny sposób reagowania, zawsze zatrzymujący się na powierzchni zjawisk, zadowolający się informacją prasową, przyjmujący wąski punkt widzenia na każdą sprawę, pozbawiony wglądu w przyczyny” – ten długi cytat z francuskiego myśliciela Alaina de Benoista jak ulał pasuje do polskiego podwórka. Lokalni zwolennicy prawicy nie zgłębiając się w żaden temat, już po tytule informacji potrafią zalać internet emocjonalnymi komentarzami, które w kwestii imigracji są już znane do znudzenia. Tak więc „lewacy” sprowadzili do Europy „ciapatych” obdarzając ich niebotycznym „socjałem”, za który „brudasy” odwdzięczają się zamachami terrorystycznymi i próbą forsowania prawa szariatu. Rzeczywistość jest jednak dużo bardziej skomplikowana i może zaburzyć starannie ułożony tok myślenia, charakterystyczny dla pokolenia wychowanego na memach i komentarzach pochodzących z wpisów prawicowych profili na „Facebooku”. Jako pierwsi drzwi dla imigrantów otworzyli bowiem przedstawiciele wolnorynkowej prawicy, którzy uczynili to na rozkaz swojego ulubionego obiektu westchnień, a więc biznesmenów.

GAULLIŚCI PRZECIWKO PRACOWNIKOM

Proces napływu imigrantów do Francji opisał właśnie wspomniany już de Benoist, w dostępnym również po polsku artykule „Imigracja – armia rezerwowa kapitału”. Początkowo na przełomie XIX i XX w. w związku z rewolucją przemysłową do Francji napływali przybysze z innych europejskich państw, którzy mieli obniżać wymagania francuskiego społeczeństwa dotyczące praw pracowniczych i godnych wynagrodzeń, na co zgadzały się rządy radykałów (takim mianem do dziś nazywa się francuskich liberałów) oraz ugrupowań centroprawicy. Przybysze spoza Europy zaczęli pojawiać się po I Wojnie Światowej, a ich liczba zwiększyła się znacząco po utworzeniu w 1924 r. Generalnej Agencji dla Imigracji, powołanej przez wielkich farmerów oraz przedsiębiorstwa górnicze, na czele której stanął poseł Édouard de Warren z konserwatywnej Federacji Republikańskiej (FR). Trzy lata później wprowadzono natomiast nowe prawo, pozwalające na szybsze uzyskanie obywatelstwa, zaakceptowane głównie głosami rządzącej prawicy z Sojuszu Demokratycznych Republikańców (ARD). Widoczny wzrost liczby muzułmańskich imigrantów odnotowano już po II Wojnie Światowej, gdy wielkie kompanie wysyłały ciężarówki po Algierczyków i Marokańczyków. W 1954 r. we Francji było już 200 tys. algierskich imigrantów, natomiast w latach 1962-1975 populacja zwiększyła się z 350 do 700 tys. Żądania francuskich przedsiębiorców poszukujących taniej siły roboczej przez cały ten czas spełniały konserwatywno-liberalne ugrupowania prawicy, także te związane z gen. Charlesem de Gaullem, który w latach 1959-1969 pełnił funkcję prezydenta Francji. Sytuacja nie zmieniła się nawet w trakcie kryzysu gospodarczego w latach 1970., kiedy władzę sprawowali konserwatyści z Partii Gaullistowskiej oraz liberałowie z Unii na rzecz Demokracji Francuskiej (UDF). Do otwarcia granic na prośbę czołowych francuskich przedsiębiorców w 1973 r. przyznał się zresztą prezydent Georges Pompidou z UDF, który przekonywał, że wielcy bossowie zawsze chcą jeszcze większych zysków, stąd przybysze spoza Francji mieli obniżać płace i rozbijać jedność francuskich pracowników.

Co ciekawe, przez długi czas przeciwko imigracji protestowała Francuska Partia Komunistyczna (PCF), a jej lider w latach 1972-1994, Georges Marchais, uznawał ją za konsekwencję kapitalizmu i imperializmu. W 1981 r. wzywał wręcz do głosowania za ograniczeniem napływu cudzoziemców, tłumacząc to trwającym kryzysem gospodarczym. Imigranci jako nowa siła robocza mieli jeszcze bardziej obniżać pensje pracowników, a także prowadzić do zwiększania się bezrobocia.

GASTARBEITERZY NA DŁUŻEJ

Choć już na początku XX w. w Niemczech, głównie w kopalniach pracowało kilkaset tysięcy imigrantów, drzwi dla masowej imigracji po II wojnie światowej otworzyła niemiecka prawica z Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej (CDU). W latach 1950. Niemcy przeżywały prawdziwy cud gospodarczy, skutkujący trudnościami ze znalezieniem rąk do pracy. Na przełomie lat 1950. i 1960. Republika Federalna Niemiec podpisała więc szereg dwustronnych umów o ściągnięciu tymczasowych pracowników z Włoch, Grecji, Hiszpanii i Portugalii, oraz nieco później z Turcji, Tunezji i Maroka. Sprowadzenie przybyszy spoza Europy powodowało największe kontrowersje, a z powodów kulturowych przeciwnikiem podobnych planów był Theodor Blank, sekretarz stanu ds. zatrudnienia. Ostatecznie Niemcy ugięły się jednak pod naciskiem Stanów Zjednoczonych, liczących na zyski swoich firm działających na terenie Europy. Pod rządami prawicowych kanclerzy Konrada Adenauera i Ludwiga Erharda w latach 1960-1966 liczba cudzoziemców w zachodnich Niemczech wzrosła z 279 tys. do 1,3 mln. Choć Gastarbeiterzy, jak wskazuje sam termin, mieli być jedynie pracownikami tymczasowymi, po zakończeniu umowy z Turcją w 1973 r. zdecydowana większość z nich pozostała w Niemczech, szczególnie po liberalizacji prawa do pobytu w 1971 r., dokonanej już pod rządami socjaldemokratów. Do kolejnych zmian w prawie doszło natomiast w 2005 r., kiedy chadecka kanclerz Angela Merkel otworzyła niemal całkowicie granice swojego kraju.

Jeszcze w trakcie trwania wspomnianych umów z Turcją, Tunezją i Marokiem, spora część imigrantów traciła pracę i zaczynała żyć ze świadczeń dla bezrobotnych, stąd rządy opłacały ich powrót do domów. Dwa lata temu tygodnik „Der Spiegel” ujawnił, że chadecki kanclerz Helmut Kohl w 1982 r. rozpoczął przygotowania do realizacji planu zmniejszenia liczby tureckiej ludności w Niemczech o połowę, w związku z kłopotami z jej integracją z resztą społeczeństwa. Dziesięć lat później Kohl poparł jednak automatyczne przyznanie niemieckiego obywatelstwa trzeciej generacji imigrantów, ponieważ napływ cudzoziemców miał przyczynić się do budowy dobrobytu w Niemczech. Należy jednak wspomnieć, że wielu Niemców nie miało okazji z niego skorzystać, bowiem wbrew propagandzie dotyczącej brak rąk do pracy, w wielu biedniejszych regionach kraju bezrobocie utrzymywało się na wysokim poziomie. Przybysze spoza Niemiec mieli jednak dużo mniejsze wymagania względem zarobków i warunków pracy, godząc się częstokroć na życie w trudnych warunkach.

BIERNOŚĆ MARGARET THATCHER

Imigracja do Wielkiej Brytanii była związana przede wszystkim z napływem osób zamieszkujących tereny dawnego Imperium Brytyjskiego, demontowanego stopniowo po II Wojnie Światowej. Początkowo chodziło o ściągnięcie z dekolonizowanych terytoriów białej ludności brytyjskiego pochodzenia, lecz ostatecznie poszukując rąk do pracy przyjęto plan ściągnięcia kilkuset tysięcy Pakistańczyków i Hindusów. Za rządów Partii Konserwatywnej (w tym Winstona Churchilla) liczba imigrantów przybywających na Wyspy Brytyjskie wzrosła z 3 tys. rocznie w 1953 r. aż do 136 tys. w 1961 r. W kolejnych latach Torysi pod presją społeczną zaczęli zgłaszać kolejne projekty ustaw zaostrzające sposób przyznawania brytyjskiego obywatelstwa, ale nie zatrzymały one napływu imigrantów. Margaret Thatcher jeszcze przed wyborem na stanowisko premiera w 1978 r. wyrażała obawy związane z coraz większą liczbą obcokrajowców, jednak słowa „Żelaznej Damy” z perspektywy czasu okazały się

jedynie próbą powstrzymania rosnących wpływów nacjonalistów z Frontu Narodowego (NF).

Podczas rządów Thatcher w latach 1979-1990 prawo imigracyjne zostało niemal nietknięte, za wyjątkiem ustawy z 1981 r. ograniczającej część praw obywatelskich dla osób przybywających do Wielkiej Brytanii spoza Europy. Poza tym nie istniała specjalna kontrola napływu imigrantów, a ich liczba nie rosła wówczas lawinowo jedynie z powodu gorszej sytuacji gospodarczej kraju. Ważną deklarację na początku ubiegłego roku złożył natomiast John Redwood, doradca Thatcher w czasie jej rządów, który stwierdził, że imigracja służy przedsiębiorcom. Dzięki większej liczbie pracowników na rynku pracy mogą oni bowiem oferować niższe płace i gorsze warunki zatrudnienia.

SKANDYNAWSKI SOJUSZ Z KAPITAŁEM

Państwa skandynawskie są głównym celem krytyki ze strony polskich prawicowców oraz nacjonalistów, którzy upatrują napływu imigrantów do Szwecji, Norwegii czy Danii w rozbudowanym państwie socjalnym i obłudnej „lewackiej” polityce multikulturalizmu. Sprawa jest jednak dużo bardziej skomplikowana, a za masowe przyjazdy cudzoziemców w niemal równej mierze odpowiada wolnorynkowa prawica, jak i lewica dopieszczana przez wielki kapitał. W pierwszej połowie XX w. Norwegia i Szwecja miały raczej kłopot z emigracją, natomiast pierwsi imigranci pojawiali się głównie w związku z kryzysami uchodźców, związanymi np. z takimi wydarzeniami jak Powstanie Węgierskie z 1956 r. W związku z kryzysem naftowym i zmniejszeniem wzrostu gospodarczego, w latach 1972-1989 rekrutacja pracowników poza granicami kraju została niemal zakazana decyzją rządu socjaldemokratów. Ponowne otwarcie granic dla imigrantów zarobkowych w Szwecji nastąpiło za rządów Carla Bildta z liberalno-konserwatywnej Umiarkowanej Partii Koalicyjnej (Moderaterna), który przyczynił się do redukcji wielu założeń państwa dobrobytu, zwłaszcza dotyczącego polityki pełnego zatrudnienia, co jest oczywiście

na rękę środowiskom pracodawców. Przed aktualnym kryzysem uchodźców rekordowa liczba imigrantów przybyła do Szwecji w latach 2006-2009, w trakcie rządów Fredrika Reinfeldta, reprezentującego wspomnianą Moderaterne.

Podobnie rzecz ma się z sąsiednimi Norwegią i Danią. Choć oba kraje podobnie jak Szwecja zamknęły swoje granice na czas wspomnianego kryzysu naftowego, wyłączając spod ograniczeń co najwyżej przybyszy z innych państw skandynawskich, największa imigracja nastąpiła tam w ostatnich latach. W równym stopniu za taki stan rzeczy odpowiadają zmieniające się na przemian rządy prawicy i lewicy, jednak napływ imigrantów idzie w parze z redukcją zobowiązań socjalnych państwa, obniżką płacy minimalnej czy innymi zmianami w prawie pracy. Wszystko to dzieje się mimo dużo większego bezrobocia niż w czasach najlepszego prosperity Skandynawii, co oznacza, że nie brakuje rąk do pracy. Warto przy tym zaznaczyć, że mimo propagandy znanej z lokalnych antyimigracyjnych serwisów, zdecydowana większość imigrantów na północy Europy jest aktywna zawodowo, więc zabiera prace rodowitym Skandynawom, jednocześnie obniżając standardy pracownicze.

PRAWICA DESTABILIZUJE BLISKI WSCHÓD

Tegoroczny kryzys związany z przybyciem „uchodźców” nie jest związany bezpośrednio z chęcią pozyskania taniej siły roboczej, jednak trudno nie zauważyć, że za kryzys na Bliskim Wschodzie odpowiadają w dużej mierze zachodnie siły prawicowe. Interwencje destabilizujące sytuacje w Afganistanie i Iraku były realizowane podczas kadencji George’a W. Busha, reprezentującego neokonserwatywny odłam Republikanów, a wspierane choćby przez neoliberalnego brytyjskiego premiera Tony’ego Blaira oraz popierane choćby przez część polskich środowisk prawicowych, akceptujących każdy pomysł Amerykanów. Również „Arabska Wiosna” mogła cieszyć się poparciem zachodnich środowisk prawicowych, które naciskały chociażby na obalenie Mu’ammara al-Kaddafiego w Libii. Najgorętszym orędownikiem wspierania opozycji wobec libijskiego dyktatora

był francuski prezydent Nicolas Sarkozy z konserwatywnej Unii na rzecz Ruchu Ludowego (UMP), który dostarczał jej wsparcia militarnego i politycznego. Wtórował mu brytyjski konserwatysta David Cameron, odpowiedzialny za powolny demontaż tamtejszego systemu socjalnego, znany ze swoich chorobliwie proamerykańskich poglądów. Postulaty ścisłego sojuszu ze Stanami Zjednoczonymi, mogące skończyć się udziałem w kolejnej wątpliwej operacji, są zresztą domeną większości prawicowych ugrupowań na naszym kontynencie. Warto więc patrzeć na ręce także nowym władzom w Polsce, które są znane niemal z bezkrytycznego stosunku do amerykańskiej polityki.

MERKEL DAJE ZAROBIĆ

Za obecny kryzys imigracyjny w największej mierze obciąża się kanclerz Angelę Merkel, która nie tylko jest przeciwna powstrzymaniu napływu „uchodźców” na terytorium Unii Europejskiej, ale dodatkowo nawet werbalnie zachęcała ich do podjęcia takiego kroku. Wynikiem tej sytuacji jest nie chęć rozdania „socjału”, ale konieczność pozyskania miliona rąk do pracy dla niemieckich przedsiębiorstw. Sytuacja tym bardziej wygląda na działanie w interesie zysków wielkiego kapitału, ponieważ Niemcy wciąż posiadają własną siłą roboczą we wschodnich landach, ogarniętych wysokim jak na ten kraj bezrobociem. Na napływie uchodźców już zresztą zarabiają niemieckie firmy. Jak pisał pod koniec września niemiecki „Der Spiegel”, znacząco wzrosły obroty właścicieli hoteli w których lokowani są imigranci, operatorów telefonii komórkowej, firm obsługujących przenośne toalety, namioty i łóżka polowe, a nawet firmy cateringowe. Niemieckie Zrzeszenie Izb Przemysłowo-Handlowych wprost zaapelowało o przyjęcie większej liczby imigrantów, choć niektórzy ekonomiści przestrzegają przed podejmowaniem zbyt pochopnych decyzji w związku z przejściowym wzrostem koniunktury. O konieczności ściągnięcia i wykwalifikowania większej ilości imigrantów mówią również Federalny Związek Niemieckiego Przemysłu i Konfederacja Niemieckich Stowarzyszeń Pracodawców.

BALCEROWICZ I BIZNESMENI JUŻ CZEKAJĄ

Pozytywnie o ewentualnym zaakceptowaniu kwot uchodźców wypowiadał się już Leszek Balcerowicz, a także część przedstawicieli polskiego biznesu. Twórca najważniejszych neoliberalnych reform po 1989 r. na początku września stwierdził, że jeśli nie przyjmimy imigrantów, nastąpi spadek wzrostu gospodarczego i zatrudnienia. Przeprowadzone w sierpniu badania wśród pracodawców wskazują natomiast, iż blisko 2/3 z nich nie widzi problemu w zatrudnianiu pracowników z odmiennego kręgu kulturowego, natomiast 12 proc. chce w kolejnym roku zatrudnić u siebie cudzoziemców. Wszystko to mimo wciąż wysokiego bezrobocia w Polsce oraz masowej emigracji zwłaszcza młodych ludzi, nie mogących liczyć na pensje zapewniające życie na jakimkolwiek poziomie.

Przyglądając się zdarzeniom związanym z najbardziej negatywną stroną imigracji, nie można dać się ponieść emocjom i ufać wolnorynkowej prawicy, która zrzuca całą winę na mityczne „lewactwo”. Oczywiście, miejscowi lewicowcy i politycznie poprawni liberałowie opowiadają się za ściąganiem imigrantów, jednak zachodnia praktyka wskazuje na duży udział prawicy w tym procederze. Celem sprzyjających kapitałowi wolnorynkowców jest bowiem jak największa ilość osób dostępnych na rynku pracy, dzięki czemu firmy nie będą musiały konkurować o pracownika, oferując dużo gorsze warunki zatrudnienia. Polsce nie jest więc potrzebne wdrożenie neoliberalnego programu, ale możliwość tworzenia własnej polityki imigracyjnej, mogącej chronić naszych pracowników przed napływem jeszcze tańszej siły roboczej. Przedstawiciele wielkiego kapitału i politycy ochronią się przed agresywnymi imigrantami w swoich bogatych dzielnicach, natomiast sąsiedztwo obcych kulturowo osobników odczują zwykli ludzie.

Autorstwo: M.

Źródło: Autonom.pl